Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 34. Poznań, dnia 24. Sierpnia. 1840.

Literatura zagraniczna.

Völkerschau auf Reisen
von Theodor Mundt, 1ter Band, Stuttgard 1840.

(Ciąg dalszy.)

Autor ze społecznych przechodzi do politycznych stósunków wolnego miasta Krakowa, opisuje jego urządzenia, wydział sprawiedliwości i nauk, i obeznawa nas z osobami, które, czy to urzędem, znaczeniem, czy nauką, ważne dziś w rzeczypospolitéj zajmują stanowisko. Jest to s u u m c u i q u e opinii publicznéj, zawieszone na piersiach zasługi lub hańby. W każdym wieku i w każdym narodzie mięsza się u ludzi złe z dobrém; ale są wieki godności narodowéj, którą stworzyły cnota i wielkie charaktery, są i upodlenia, wśród ćmy, których latają nietoperze, pełzają i wiją się gady kąsające. Jaki wiek, tacy ludzie, jacy ludzie, taki wiek, z tą tylko różnicą, że niekiedy czas przyciska ciężarem swoim lepszy charakter ludu, co się nieraz z rudy na rodzimy kruszec wyrobił; a często po nad upodlonym narodem mijają wielkie epoki czasu, jak chmury elektrycznością brzemienne po nad spiekłą i spękaną od upałów rolą; indziej luną upładniającym deszczem, a tam i kropla go nie spadnie, a zboża i trawy powiędłe do reszty się wypalą. To pewna, że jak sposobność prowadzi człowieka do wielkości i sławy; tak więcéj jeszcze i łatwiéj prowadzi go do zbrodni i hańby. Biada czasom matactw i zhańbienia tego wszystkiego, co jest świętém w obliczu sumienia i nieba. Zły przykład z góry gorszy jest dla moralności ludu, niżeli morowa zaraza dla jego zdrowia. Ludzi podłych, płaszczących się, nie mających w sercu ni Boga ni sumienia, namnoży się, i olegną kraj jak szarańcza, i wytną i wyniszczą wszystkie urodzaje szlachetności jego. A biada jeszcze większa, kiedy téj szarańczy wytępiać zabraniają, kiedy nie wolno palić jéj ogniem sądu publicznego, straszyć i płoszyć dzwonem i hałasem opinii narodu. Powstaną i wzniosą się natenczas bohatyrowie pygmejskiego serca na ucisk i udręczenie bezbronnych; wspinający się do znaczenia po szczeblach schlebstwa, podłości a i zbrodni nawet. Z moralnego ludzi zepsucia i skażenia otworzyli dla siebie bogate kopalnie; przyobleczeni w szatę na wszelakie nieschlujstwo i plugi wytrzymałą, z brudną lampą bezwstydu u łona tlejącą, wstępują w one ciemne otchłanie spółeczności, i tam jak w minach Potozi, póki pora sprzyja, niezmordowaną usilnością pracują ku nagromadzeniu złota. I udaje i wynagradza im się praca, ku sromotnéj zachęcie dusz podłych, jako z hańby i upodlenia najobfitsze dadzą się ciągnąć zyski. Są to ludzie zwykle z niższéj sfery, przebiegłego rozumu, a skażonego serca, w krętych i tajemnych ścieszkach odbywający podróż życia, i tam z ubocza i w ukryciu przyglądający się rzeczom i ludziom na głównym gościńcu, i upatrujący dla siebie dogodną ku wykazaniu się porę. Jak lekarze badają naturę chorób ludzkich, tak oni zgłębili moralne choroby wieku swego, i stali się mistrzami w sztuce zepsucia. Za pieniądz, świecidełko i tytuł, do każdéj sprawy pochopni, wyrugują z duszy sumienie, z serca uczucie, z istoty swojéj godność człowieka. Są to żydy na rozproszeniu, na których ciąży przeklęstwo Boga i pogarda ludów; zahartowani w bezwstydzie i obelgach dla złotego zysku, nabrzmiewający nim jak pijawki, gdy je do zbolałego miejsca przyłożysz Zakamieniałe serca stawią na wyrzuty sumienia; na pociski opinii publicznéj nadstawiają miedziane i wytarte czoła swoje. Tym hartem są silni. Są to urodzeni wielcy inkwizytorowie hiszpańscy, i wykształcili w sobie talent policyjny do tego stopnia, że wziął przewagę nad rozumem, i zastraszyła i ulękła się przed nim potęga ducha. Są to bohatyrowie na placu podejrzeń, podstępu, śledztw i prześladowania. Jako szerokich bark Atlasy w zapasy się ujęli z duchem czasu, z postępem wieku, z charakterem narodów i z silnym charakterem pojedyńczych ludzi, i w téj walce pozyskali laury i nagrody, i głośne są ich imiona, jak Tytanów, co niegdyś szturmując przybytek Bogów, ciskali w niebo łomy gór i skał. Co wolność ludów zbudowała, co postęp i oświata z wielką

pracą i cierpliwością naskarbiły, to niszczą i rabują, jak dzicz rozjuszona, gdy wpada do szturmem zdobytego miasta. I tą to własnością duchowi odjętą, tym rabunkiem na duchu zdobytym, karmią i tuczą się. Czasem tylko użyje ich historya ku dobrym celom, kiedy zapociekli w rzemieśle swojém wytężą cięciwę, że pęknąć musi.

Taki to obraz ludzi stawia nam nasz podróżny, kiedy go ze szczytu Wawelskiéj góry, myśl uniosła w przeszłość, i snadź stanęły przed oczyma postacie Greków za Filipa i Demetryuszów, postacie Rzymian za Galby i Nerona, i tak następnie fizyognomie narodów innych, z czasów ich moralnego zepsucia i upadku. Ludzie tacy i czasy takie powtarzają się wszędzie i zawsze w różnych formach, ale w téj saméj treści, bo nasiona złego i dobrego od wieków są te same, i te same wydają owoce. Nieszczęście jak u człowieka, tak w narodach łatwo przygniecie i stępi siły umysłu i serca. Lud długo nękany zobojętnieje z czasem na to, co go dolega: oswoi i pogodzi się z hańbą swoją, a nareszcie nią frymarczy. To przymierze ohydne nieszczęścia z bezcześcią jest jego złem najokropniejszém. Ten co w pełni powodzenia i siły rycerskiego i niepohamowanego był serca, tak zeskromnieje, gdy go przyciśnie brzemie nieszczęść, że i dziecku psotnemu z siebie szydzić i naigrawać pozwoli. Z nieszczęścia, jak z puszki Pandory wysypało się złe tego świata. A jak są ludzie, którychby szczególnie nieszczęśliwymi nazwać można, bo ich zawsze i wszędzie przypadki ścigają, tak są i narody, w których sobie zły los przed innémi upodobał. Polska podobno od czasów Jana Kazimierza jest jednym z tych ulubieńców prześladującego ją losu, jeżeli i to nieszczęściem nazwać można, że się naród sam w sobie nie upamięta. Co do Krakowa, autor namienia, że go nieszczęście na samym już chrzcie objęło, kiedy mu się dostało miano wolnego miasta. Było to jedną z tych nazw nieprzyjemnie wpadających w ucho, na podobieństwo przezwiska ironicznego, dla którego nieraz człowieka całe życie nagabują, i które niejednéj dla niego staje się przyczyną przykrości. Cały zaś ogrom klęsk, jakich w kolei czasu owo miasto królewskie doznało, daje widnokrąg jego objęty rzutem badawczego oka. W dali widać pasmo gór karpackich, nastręczające obraz wolnego życia synów natury, co po tych szczytach, niedosiężeni od chciwości, po poziomie, jak kłęby zamgły wijącéj się, wolném tu oddychają powietrzem. U samego zaś podnóża wzgórz rozległych Wisła siwemi wodami połyskuje, i malowne brzegi w nurtach swych odbija. Osaczają ją z jednéj strony zamek na Wawelu, z drugiéj komora sąsiedniego państwa, punkta w téj stronie najwydatniejsze. Na trzech przeciwnych stronach ściskają okrąg wolnego miasta, 20 mil kwadratowych wynoszący, granice dwóch innych mocarstw sprzymierzonych. Miniona świetność z mogił wygląda, albo ci trzeba wstąpić do grobów, abyś tam jéj popioły obaczył. Gdzie były mieszkania królów, tam dziś koszary dla wojska. Naród poniżał, nie miałże i gród poniżeć? Jak na oderwanym łomie ziemi odgadujesz zaszłe po jéj powierzchni rewolucye, tak z owego grodu królów odgadniesz koléj dziejów Polski.

Śliczne to okolice Krakowa; słońce więcéj z południa świecące nadaje im jaśniejsze barwy, pyszniejszy dobór kolorytu, a to wszystko urozmaicone pełnością życia, sztuką, pamiątkami. Spojrzysz na przeciwną stronę Wisły, a jakieś zielone uwijają się tam mundury. To austryaccy strzelcy nadgraniczni przestrzegają linii celnéj. Granica między témi dwoma państwami, samym środkiem rzeki wytknięta. Tak się narody odgraniczyły. Ale natura na to nie zważa. Wisła po obu stronach srebrne toczy fale, pluska niemi z granicy na granice, i niejako szydzi z ludzkiego dzieła. Po obu brzegach daleko w głąb kraju rozciągają się żyzne pola i ogrody, to zielenią się majem, to złocą dojrzałemi kłosami; tu i tam bogate żniwo, natura tu hojniéj z rogu obfitości potrząsła. Atoli nieszczęście, co człowieka gniecie, silniejsze jest niżeli cały urok i dostatek przyrody, odeń jak od obłoku słońce zaciemniającego pada na okolicę cień jakiś, i w pomroce widzi ją człowiek znękanéj duszy. Łza w oku, którą tam boleść głęboka wycisnęła, nie przydaje świetności światu, ale blask jego mroczy i kirem okrywa.

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Wdzięczność współziomkowi L.....

Mężu! wiecznéj współziemian twoich godny części,
Potęgą ducha ponad burzę wieku wzbity,
Z serc męczeńskich, jadami znękanych boleści,
Bratni chciéj przyjąć wieniec, na twą skroń uwity.

Wrą w okół ciebie uczuć rozdzierających dźwięki,
Gromnémi w trup przeszłości szturmują tarany,
Brzmi groźnémi straszliwa harfa czasu jęki,
Ludzkość drży w swych posadach — lecz tyś niezachwiany!

Jako Tytan, w pioruny swojéj ufny mocy,
Stoisz nad zrywającym się z łożysk Oceanem,
Stoisz — boś berło myśli jego wydarł nocy,
I jéj kometą błysnął nad ojczystym łanem.

O mężu wielki, któryś nić postępu mglistą
Z wszechmocnéj dłoni ujął władnącego w niebie,
W bratnie ją serca strzelił gwiazdą promienistą;
Jakież są hymny, jakież laury godne ciebie?

Jakaż chwała twéj duszy? co olbrzyma siłą
Wzrosła przeczuciem ludu, rozgniotłszy trosk brzemię
Ponad zmartwiałéj matki zwalone mogiłą,
Jutrzenką zmartwychwstania swoją złoci ziemię.

O! nie ma słów, ni nagród ku twemu uczczeniu
W padole śmiertelników — téj oazie czczości;
Przebacz — konającemu śmialéj gęśli brzmieniu...
Łzami zlaną o kolos twéj trzaskam wielkości!

A. B.

Wyjątki z najnowszéj powieści M. Czaykowskiego:

KOSZOWATA.

I.

Ale nasz kozak nie trus
Schwatyw szablu czubit wzuw
Podywywsia, skrutyw wies
Siw na czajku, taj dmuchnuw.
Padura.

Jest na Ukrainie ziemia w dziwne przeploty mogiłami unizana — na mogiłach sterczą zrzadka rozsochate dęby, niby cienie atamanów i watażków, po dolinach plecie się gęsta łozina, niby zmartwychwstałe tabory kozaczéj młodzi. Pomiędzy te groźne postawy atamańskich dębów, oko daleko hula, aż na stepy; — a kiedy wicher stepowy z poświstami, z porykami, po swojemu wpadnie w odwiedziny na kozaczy mogilnik — to łozina gwarnie zaszumi, jak kozacza młodź w bojowéj dobie, przed zawrzaskiem: Sława Bohu! a konary dębów wyją jak gromkie głosy atamanów: bij — kól — siecz. O, wtenczas dusza kozaka panoszy się i rwie do boju jak tabunny rumak do biegu — i na myśl niże a niże dumki, o sławie kozaczéj, o dawnéj Ukrainie.

Niby na straży tego mogilnika pamiątek, postawiono Kruto-horby sioło; strojne białémi chatami i białym dworem, jak tęskne a widne dziewice koło matczynéj mogiły; — w chatach mieszkał lud kozaczy — a we dworze pan cześnik Bychowski, krew lacka, szlachcic od praprajców.

Pan cześnik siedmdziesiąt lat z górą już uronił ze swojego życia, — i pani cześnikowa, mężatką i matką trzech synów, już drugiego jubileuszu się doczekała, a po pierwszym narodziła się jéj córka Marynia. Starszy syn Stefan mecenasował w Lublinie, a dwaj młodsi, Stanisław i Antoni, byli towarzyszami kawaleryi narodowéj brygardy Jerlicza. Marynia od półtora roku wyszła za mąż za pana starostę Koszowackiego. Cześnik niegdyś mieszkał za Bohem w Sawrańszczyznie, tam dzierżawił mnogie włości, ale od ośmnastu lat już porzucił dawną swoją siedzibę, kupił liczne włoki ziemi obok Koszowaczyzny, i zasiedlił sioło Kruto-horby. Ludzie przebąkiwali, że miał kupę pieniędzy w grosiwie i na procentach u rozmaitych polskich panów, bo córce dał posag bogaty, brzęczącém złotem, za nadto szumny na szlachcica, posiadacza jednéj wioski. Ile razy zdarzyło się przy panu cześniku mówić o Sawrańszczyznie, o starym wojewodzie Potockim, albo o braciach Zaporożcach, to tyle razy wychodził z towarzystwa, cały dzień był chmurnym i przed pójściem spać gorąco się modlił.

Pani cześnikowa miała imie Marya, i córka takoż nazywała się Marya, przez rodzicielskie pieszczoty zdrobniono jéj zwanie na Marynię, dzień niepokalanego poczęcia Maryi Panny był dniem imienin matki i córki, zawsze obchodzono go uroczyście w Kruto-horbach. I dziś kilka osób z sąsiedztwa i kilka przyjaciół wojskowych panów Stanisława i Antoniego raczyło przyjechać na objadek, uproszono ich do zostania na wieczerzę, a sądzono, że dadzą się namówić, aby przenocowali, bo na dworze taka zawierucha, iż świata Bożego nie było widać nawet w dzień.

Już dwie godziny, jak zapalono świece; pan cześnik zasiadł do maryasza w pulę z panem podkomorzym Czarkowskim i z panem rotmistrzem Świderskim, już krzepko sędziwémi ludźmi. Pani cześnikowa, pani podkomorzyna, państwo sęstwo Zalescy i ksiądz proboszcz z Koszowaty koło głównego stolika stojącego przy kanapie grali w ćwika. Pani starościna Koszowacka, dwie panny Zaleskie i panna Czarkowska siedziały w drugiéj komnacie. Panowie Stanisław i Antoni, pan porucznik Dłuski, kawaler troche już sponiewierany wiekiem, i młody namiestnik Tadeusz Niemirycz, jak to mówią, cholewki smalili. W trzeciéj komnacie, zwanéj wchodową, pan starosta Koszowacki rozmawiał z panem chorążym Trzeciakiem i z panem Antonim Topczewskim, dawnym towarzyszem i jedynym przyjacielem pana cześnika — rozmawiali o gospodarstwie, o sprzedażach i o dubieńskich kontraktach. — Starosta przechadzał się ciągle z końca w koniec komnaty, rozmawiał, ale ustawicznie zerkał okiem na żonę — czasem podeszwą głośniéj stuknął — czasem wąs targnął i chrząknął.

Pan starosta ze trzy lata temu, jak czterdziesty rok skończył, czarne włosy przyszroniła szpakowacizna, i wąs zeszpakowaciał, ale na twarzy jeszcze ani jednego zmarszczka nie było, zęby białe i całe wszyściuteńkie,

— nie miał on nigdy tego rumieńca, co to się wypieka na licu przesytém pohulanek, ani téj bladości, co to idzie ślad w ślad po pijaństwie, albo i z niém razem, — w czarném oku nie było śladu téj gry życia, co to chwilami ogniem błyska, a chwilami łzą się łzawi, rysy twarzy męskie, piękne nawet, ale podobne im rysy tysiącami można było napotykać w świecie — i w ludzkiéj pamięci nie zapisywały się wyrazami: raz go widziałem, to go poznam. Kibicią dość rosły, ani chudy, ani otyły, przystojny, czerstwy mężczyzna, ale surowy wejrzeniem i twarzą a sztywny postawą, — w stroju jego ani jednéj błyskotki, ani jaskrawéj barwy — kontusz, żupan, pas, wszystko ciemne, — skrzętne ochędostwo i poszanowanie sukien widzieć się dawały za pierwszym rzutem oka, ale téj samowoli, co to robi wdzięk i okazałość stroju, darmoby u niego szukać.

Starościna dziś kończyła dwudziesty rok, jéj imieniny były zarazem jéj rodzinami. Laszka milutka, ponętna, jak nadzieja kochania, — usteczka, czoło, nos i cała twarzyczka takie cudne i takie ładne, jak oblicze anioła, utkane rojeniem bujnéj myśli człowieka — ale w ciemno-błękitnych oczach jest ogień ziemi, zmieszany ze światłem nieba — i ziemski rumieniec to blednie, to się krasi na licu, jak zwój polnéj róży, jak różowe światło jutrzenki — ciemnobrewa i ciemnowłosa, a taka szykowna, taka składna, jakby zarazem i ziemską i nieziemską istotą była, — z twarzy, z postawy widać, że nie smutek, nie cierpienie wionęły w jéj duszę, ale jakieś tęskne chcenie, co to samo nie wie, zkąd się wysnuło i dokąd bieży, co to i na ziemi chciałoby zostać i do nieba radeby lecieć — i ma już czém zaspokoić pragnienie uczucia, a jeszcze myślą błąka się, i szuka krainy szczęścia.

Starościna uśmiechała się z wesołych opowiadań pana Niemirycza, poglądała nawet dość uprzejmie na urodziwe lice, na rycerską postać młodego namiestnika — ale w tym uśmiechu, w tych spojrzeniach nie było téj pół-tajemnicy, co to na wspak woli objawia ludziom uczucie serca niewiasty — u niéj to wszystko było bez myśli, tak sobie przez pustotę, przez grzeczność, przez chęć bawienia się w dzień swoich i matki imienin — a jednak mimowolnie od czasu do czasu jakiś niepojęty niepokój ściskał jéj serce — zadumała się, westchnęła nawet, a sama nie wiedziała dla czego — może to nieziemska przestroga, a może ludzkie przeczucie.

* * *

»No, i jakże, mości starosto, czy już rzecz skończona z wojewodą?« odezwał się chorąży Trzeciak. — »Skończona — pieniądze posłałem — jak podpisze kontrakt, każę wziąść intromissyą.« — »Zapewne dla tego pan Skandyba tu nie przyjechał.« — »Skandyba został w Koszowatéj, trochę chory.« — »Ja sądziłem, że pan starosta go posłałeś z pieniędzmi.« — »Nie — ja posłałem kozaka Maxyma.« — »Tego chwata, co go to waszmość panu we wrześniu na święty Hieronim dał na wiązanie wojewoda Kijowski?« — »Tego samego.« — »No wiesz, waszmość pan, że to trzeba djabléj odwagi, powierzać pieniądze i to grube, człowiekowi, którego się nie zna, Bóg wie, jakiemu wołokicie, i to jeszcze w teraźniejszych czasach.« — Zdało się, że starosta trochę się uśmiechnął, ale to tylko się zdało, »pan wojewoda, kiedy mi dawał Maxyma, to powiedział: panie Hieronimie, daję ci chwackiego chłopca, chaptes łaptes to nie w jego obyczaju — prędzéj zabije, jak okradnie, — on to z téj krwi, co woli krew, jak złoto, albo jakie rupiecie, — pan wojewoda zna się na ludziach.« — »Daj Boże, żeby złoto doszło do przeznaczonéj szkatuły, — w teraźniejszych czasach.«

W drugiéj komnacie zaśmiano się głośniéj, starosta już roztwierał usta do odpowiedzi, ale nie odpowiedział — zwrócił nagle swoje jednostajne chodzenie, przeszedł przez drugą komnatę do trzeciéj, zapewne przypatrywać się grającym w ćwika i w maryasza — a śmiech ustał, — starosta i słówka nie rzekł, ledwie spojrzał na żonę — jednak wszyscy zamilkli — i Niemirycz nie wiedzieć, po jakiemu zakończył opowiadanie — chociaż starosta nie junak, a Niemirycz nie tchórz. Jeden z nich był jak zawistny skąpiec, kiedy zastanie nad swoim skarbcem obcego człowieka w podziwieniu — zadrzy z obawy, ale nie śmie powiedzieć tyś złodziéj; — drugi był jak człowiek podziwiający skarb bez żadnéj myśli, zobaczywszy obawę pana zmięsza się i pomyśli: skarb mi się podobał, może on mnie ma za złodzieja.

Tymczasem Topczewski zbliżył się do Trzeciaka: »Cóż to mości chorąży mówiłeś o teraźniejszych czasach?« — »Złe czasy i bardzo złe — niech to będzie między nami, tylko tego wacpan dobrodziéj nikomu nie gadaj — bo po co to płoszyć ludzi przed czasem — może Bóg da, że z tych zachodów nie będzie płodów, — rzecz pewna, że popi bechtają chłopom, żeby się wzięli do nożyków na szlachtę i na żydów.« — »To bajki, na żydów pozwalam, niech ich z korzeniem wyplenią, mniejsza o to — ale na szlachtę, broń Boże, nie pozwalam.« — »Czy waszmość pan pozwolisz, czy nie pozwolisz — to oni na to uważać nie będą — jak to mówią, jak przyjdzie kryska na matyska, to swoje zrobią i szlachcie się dostanie.« — »Oni przecie a my, to wszystko jedno — dzieci jednéj matki — i któżby to miał taką czarną duszę, żeby ich namawiał na bratobójstwo?« — »Ludzie.« — »To być nie może, ja dziś

jeszcze gadałem z chłopami, a z samymi pronszami, oni tak nas kochają.« — »W Kruto-horbach być może, ale pojedźno waszmość pan do Koszowatéj, a tam zapytaj.« — »Ba, to prawda, że srom ludziom powiedzieć, co ten Skandyba dokazuje, ale takich nie wielu.« — »O nie, mospanie, na nieszczęście takich Skandybów u nas co niemiara — a ledwie gdzie niegdzie znajdzie się poczciwy człowiek, co chłopów ma za ludzi,« ściszył głos, »Bogiem a prawdą rzekłszy, jaki pan taki kram, i starosta w tém wszystkiém nie bez grzechu.« — Topczewski bąknął przez zęby, ale dla siebie tylko »To mąż naszéj Marysi — tak on nawykł nazywać córkę swojego przyjaciela!« potém mówił, ale nie głośno: »Dalibóg, djabeł nie taki zły, jak go malują — starosta zacny obywatel — ale przez skaranie Boże zawierzył komu — temu Skandybie, wywłoce zbiegłemu z jakiegoś tam seminaryum — temu Julkowi, co go to zrobił pisarzem prowentowym, przechrzcie — samém widział, jak tego parcha chrzcono — i temu Moszkowi arędarzowi rodzimemu żydowi — a to omne trinum perfectum, ale na szubienicę.« — »Masz wacpan prawdę, że na szubienicę — ale też i starosta nie chłopczyk, nie weźmie wody za wino, a kiedy trzyma u siebie złych ludzi, to i sam nie musi być bardzo dobry.« — »Opamięta się.« — »Biada to, kiedy kto nabroiwszy licha, po czterdziestce chce się opamiętać i to tym sposobem — ale daj Boże.« — »Prawda zawsze wyjdzie jak oliwa na wierzch.« — »Ale prawda w oczy kole — a kto mu ją powie?« — «Znajdą się tacy, zobaczysz waszmość pan.« — »Byle nie chłopi mu ją gadali.« — »O broń Boże — co na to — to nigdy nie pozwolę — chłopów hołubić, sprawiedliwość im zrobić, ale przeciwko sobie samym nie buntować — bo przepadniemy jak muchy, i my i oni.«

Starosta wszedłszy do trzeciéj komnaty stanął przy piecu, i wcale nie zważał na to, co tam się działo. — Cześnikowa rozdawszy karty, na azardzie wyświęciwszy niżnika dzwonkowego, spojrzała i skrzywiła się, »Pas.« — Pan sędzia zażył tabaczki, »Maleńki ćwiczek, kto mi pomoże — proszę w płatkę mnie nie wpędzać.« — »Pewnie ma tuza, króla, i przynajmniéj wyżnika,« odezwał się ksiądz proboszcz, »ja nie pomagam i azardu nie biorę.« — »Ja wezmę azard, ale do mojéj dziesiątki — czy wolno?« — »Nie wolno, mościa dobrodziejko, to nie na żart się gra, tylko w pieniądze — dwadzieścia groszy w puli — to piechotą nie chodzi.« — »To ja nie biorę.« — »Ja biorę,« i wzięła azard pani podkomorzyna, nie wesoło okiem przezierała karty. — »Imość dobrodziejka się sparzyła, nauczka w las nie pojdzie, na drugi raz będzie się ostróżniejszą.« — »Zobaczymy — kto nic nie waży, to nic nie ma — może ja wpędzę w płatkę pana sędziego.« — »Może — służę Asindzce dobrodziejce — w ten — w ten — a zresztą w nogi.« Zadał tuza, króla, a potém wyżnika. — »A ja mówiłem,« odezwał się sędzia, »mościa dobrodziejko, po co tu filować, jak to mówią, kręć, wierć, a kiedy przyjdzie śmierć, to trzeba umrzeć.« — Podkomorzyna paluszkiem w paluszek szturchała, którą kartę ma odrzucić na wyżnika sędziego — a paluszki jak na złość albo raz po raz się mijały, albo raz po raz jeden w drugi trafiały — położyła karty na krawędzi stołu, ale tak, że brzegami wystawały troche za krawędź — dłonią trąciła w obiedwie — i odwróciła tę, co się naprzód wysunęła — »Niech się dzieje wola Boża.« — »Nie Boża wola, ale djabla, mościa dobrodziejko,« pokręcił wąs sędzia. — »No, co trafiono, to trafiono, tuz żołędny pojechał, a u pana sędziego jest taki król.« — »Proszę na niego.« — U podkomorzyny był król czerwienny, »Mężu, pan sędzia wpędził mnie w płatkę.« — »Przepraszam asindźkę — tak sprawiedliwość kazała.« — Podkomorzy odezwał się od drugiego stolika: »Moja panno, wczoraj przedałaś indyki, masz karbonkę pełną grosiwa; lepiéj tu z dobrymi przyjaciołmi przegrać dla zabawy, jak roztrwaniać na te wasze manele, na które nie dość, że trzeba pieniędzy huk wysypać, ale jeszcze posyłać do Dubna, gdzieś tam na koniec świata.« — I pan sędzia i pan cześnik i pan rotmistrz potakiwali: »Prawda — prawda!« — »No, zaczepiliśmy, nie będzie końca zrzędom — święta to prawda, że jak mężczyzni się rozgdyrają, to sto razy gorzéj, jak najgadatliwsze baby.«

Już Ignacy, stary kredenciarz, wniósł tacę zastawioną sztofami z rozmaitą wódeczką, solą i chlebem pokrajanym w drobne kawałki, — polska to podnieta do apetytu przed każdém jedzeniem. Pan cześnik skinął na starostę: »Panie Szymonie, wyręcz mnie wacpan.« — Starosta wziął się do kielicha »W ręce pana podkomorzego.« — Wtem wszedł Topczewski: »Mości starosto, kozak Maxym przyjechał.« — »Przyjechał?« i żywo wyszedł.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Listy ajenta saskiego

podczas bezkrólewia po Auguscie III. i w początku panowania Stanisława Augusta.

(Dalszy ciąg.)

XI.

Warszawa, dnia 18. Lutego 1764.

Prymas bardzo niestworzony do swego obowiązku; każdy wypadek spycha go z toru. Dziś jest w śmiertelnym kłopocie, bo dwie partye wybrały w Poznaniu

oddzielnych posłów. Nie śmie oświadczyć, że biskup książę Czartoryski, będąc w województwie naczelnikiem duchownym, nie ma prawa, mięszać się w sprawy doczesne. Chce zwołać panów i naradzać się, czyby nie trzeba wydać uniwersałów na powtórny sejmik w tém województwie, ale nie myślał o tém, że wiele województw znajduje się w tym samym przypadku, i żądałyby tego samego.

Szesnastego z rana książęta Czartoryscy udali się do posła moskiewskiego hrabiego Keyserlinga i to natychmiast po nadejściu poczt z Litwy i z Wielkopolski.

Lubo ich interes bierze dobry kierunek, myślę, że jednak nie dojdą do tego, za czém się istotnie ubiegają; tu i owdzie wydarzają się niepomyślne wypadki. Jest rzeczą pewną, że nawet szlachta najkrnąbrniejsza więcéj do twarzy uważa purpurę dla książęcia wojewody ruskiego, niż dla jego siostrzeńca Poniatowskiego; ale kanclerz litewski i może osoba dostojniejsza jeszcze, która jest puklerzem Poniatowskiego, zrobią, że wszystko pojdzie dobrze. To nawiasem. Rzeczeni książęta i ambassador zamknęli się na obradę, która trwała trzy godziny. Przedmiot téj obrady nie doszedł jeszcze moich uszu. Wnoszę jednakże, iż się nie zamykali dla niebieskich migdałów, skoro wyprawili sztafetę do imperatorowéj i do króla pruskiego.

Bal u stolnika postanowiony na 27. Lutego, jeżeli nie będzie najwspanialszy, to z pewnością najliczniejszy. Miał być stół nakryty, tylko na dziewięćdziesiąt osób i sześćset masek, lecz tylu zgłasza się o bilety, że stolnik kazał ich dodać jeszcze trzysta. Ja także pójdę, żebym mógł mówić, żem był: będę jednak udawał zagłuszonego i będę miał oczy tylko na to, aby zdać panu obszernie sprawę, jeżeli się okaże, że to warte pracy, ze wszystkich drobnostek, które zajdą w łonie koszar. Jéj królewiczoska mość księżna kurlandzka przyjechała w sobotę i stoi u Sakramentek. Nie przyjmuje wizyt, ale księżna wojewodzina ruska, księżna strażnikowa, stolnik Poniatowski byli ją powitać. Okazywali jéj uszanowanie oddające się krwi królewskiéj.

Stronnicy domu królewskiego są bardzo niespokojni z powodu braku postanowienia trzech książąt i myślą, że czas działań skutecznych bez przeszkody upływa. — Cała Litwa, dotychczas przywiązana do domu królewskiego nabiera uprzedzenia za stolnikiem.

XII.

Warszawa, 29. Lutego 1764.

Plany familii rozwijają się coraz obszerniéj i możesz pan sobie utworzyć wyobrażenie o nich, podług tego, com wspominał w jednym liście. Nie wiem, czy wypadki będą sprzyjały Czartoryskim, lecz wiem, że dzień i noc pracują. Przyjaciele Sascy mają nadzieję w liście, który przyszedł z Konstantynopola i który zbija to wszystko co przeciwnicy pozmyślali względem położenia hetmana wielkiego koronnego; nie umiem osądzić, czy to list fabrykowany, czy też prawdziwy. Brakuje pieniędzy w Moskwie jak wszędzie, ale nie myślą, żeby to bardzo pokrzepiało ich nadzieje, zwłaszcza, że nie kwitną także ich finanse. Zdaje się, że hetman i jego przyjaciele pójdą do ostateczności, bo jest pewno, że niektóre województwa nie są za Czartoryskimi. Przypuściwszy, że Saxonia użyje sposobów właściwych w téj rzeczy, może być łatwo który książę obrany. Elektor, książę kurlandzki, albo książę Xawery zaraz po oborze nie mogliby wejść w posiadanie; ale okoliczności dziś tak przeciwne, mogłyby się stać przyjaźnemi w krótkim czasie, ... rewolucye często się zdarzają w pewnym kraju. . . . . Wszystko śmiertelne uległe zniszczeniu; przypuśćmy jeden tylko wypadek właściwy przyrodzeniu ludzkiemu, a zgodzimy się, że imperatorowa może zmienić sentimenta. Familia nie będzie miała zawsze tych samych przyjaciół i stronników. Saxonia może się pokrzepić, pozyskać którego sąsiada. O tyle więc podług mego zdania stronnicy Saxonii mogą ufać wypadkom. Pomyślić, że interesa zmieniają się do szczętu przez cztery miesiące! to mi się zdaje za nadto popuszczać fatalizmowi. Wielkie rewolucye zjawiają się nagle, ale bardzo rzadko w chwili wyznaczonéj.

XIII.

Warszawa 2. Marca 1764.

Małe przełożenie, które bez wiadomości biskupa kijowskiego zrobiono w jego pismie Manuale Juris publ. pol. in statu Reipubl. Acephalo-collectum. Varsoviae 1764. o ledwie nie skłóciło tego prałata z posłem francuzkim. Pan Friese, który miał polecone uporządkować ten zbiór, na stronnicy 61 za wpływem posła moskiewskiego Keyserlinga położył słowa w tém następstwie: »Inter legatos certus ordo servatur, fitque initium a nuntio apostolico, quem excipit Caesaris, hunc Russiae Imperii, cui Galliae legatus vix cedere vult.« Lengnich zaś i inni powiadają: »Hunc Galliae legatus, cui Russiae Imperii vix cedere vult.« Różnicę tych wysłowień dostrzeże czytelnik uważny, a zwłaszcza, który wie o rewersaliach i transakcyach, jakie porobiono w tym względzie między dwiema koronami, przy wynoszeniu na tron jednego z panujących moskiewskich. Poseł więc francuzki zaniósł zażalenie. Zdawało się, że sposób najwłaściwszy wykroić cały frazes. Tymczasem poseł moskiewski kazał zabrać sto exemplarzy, jak gdyby na nich można opierać roszczenia do praw w tym względzie. Ten sam pan Friese układa traktat na uży-

tek Keyserlinga o wzrastaniu stopniowém władzy hetmańskiéj i po większéj części według jego zdania uzurpowanéj. Widziałem ten traktat, lecz nie ma być drukowany. Celem jego jest podać sposoby do poniżenia hetmana koronnego i do ograniczenia mu wziętości w rzeczypospolitéj. Drasnięcie wyrządziła mu już familia przez ogłoszenie dla wywiedzenia go z błędu sądów kapturowych, i o karze na tych, którzyby śmieli udawać się do marszałka wielkiego Bielińskiego, i to od czasu, w którym hetman pisał z Białostoku do Bielińskiego, aby się do ostatniego trzymał przy swojém, a nawet obiecywał mu w sparcie zbrojne. Bieliński kazał raz oświadczyć Czartoryskim, że każe swojéj węgierskiéj chorągwi pojmać im instygatora i z całym jego zbrojnym orszakiem; miał podobno prawo, jak utrzymywał przedemną jeden publicysta, który przytaczał na stronnicy 55. wydania Amst w kronice Piaseckiego paragraf de Mareschalci jurisdictione tempore interregni.*)

XIV.

Warszawa, 5. Marca 1764.

Zamiast 27 szlachty, których miał liczyć wojewoda wołyński podług ostatniego doniesienia przy swoim boku, było ich 2000, jak sam powiada; i jego syn nie chciał być posłem wcale nie dla tego powodu, który rozgłosiła familia, lecz ze skromności i z obawy, aby nie myślano, że jest za nadto przywiązany do swoich interesów osobistych. Poseł moskiewski hrabia Keyserling, który wydawał wczoraj córkę legitymowaną za pana Asch, sekretarza poselstwa, nie jest przy zdrowiu. Gdyby on umarł, byłby to cios może zgubny dla familii.

Prymas używa bez zaprzeczenia prawa rozdawania beneficii podczas bezkrólewia. Piasecki, pisarz doskonale świadomy rzeczy, mówi stron. 445.: »Quod beneficia tempore interregni a Senatu aut Republica conferri non possint.«

W niedzielę byłem na balu u księcia kanclerza danym na zakończenie zapust. Było do 900 mask; wszystko pięknie urządzono; więcéj było miejsca niż u stolnika litewskiego, lecz brakowało téj okazałości. Między innémi maska ubrana za Fortunę, usadowiła się twarzą ku północy na krześle, które jéj służyło za piedestal w kształcie kulistym. Światło z niego wychodziło w ten sposób, że z jednéj strony czytano: »Niech żyje rzeczpospolita! niech żyje senat!« a z drugiéj: »Niech żyje pokój! niech żyje szlachta!« Mówią, że familia nie bardzo się tam uradowała, a przynajmniéj nie miała wiele wdzięczności wspólnikowi handlowemu Teppera, któremu przypisywano ten pomysł.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Słowa te Piaseckiego są: *Maxime autem incumbit marischalco cura, ut in loco conventus seu comitiorum uti sub Rege et in aula regia, ita et sub interregno omnia, sint secura: ne tumultus rixaeque ullae excitentur. Unde ille solus militem armatum tunc habere potest, quem ad excubias locis opportunis disponit, insolentiis opponit, causas omnes injuriarum in illo conventus loco exortarum ipse judicat; delinquentes corrigit, et vitae necisque potestatem contra criminosos exercet.*

Krytyka.

Obraz myśli mojéj na pamiątkę żonie i dzieciom, *przez Floryana Bachwica. Część I. i II. Wilno* 1838. *i* 1839. *r.*

(Ciąg dalszy.)

»Szukamy i usiłujemy poznać myśl Boga w jego stworzeniu, lecz nie szukamy, aby w nim znaleść samego Boga. Jak czytając traktat w jakimkolwiek przedmiocie, szukamy myśli autora, nie szukamy zaś, aby w tém dziele znaleść samego autora; owszem pytamy: kto jest autorem? gdzie jest autor?« — Dowód nie z myśli saméj, ale z porównania wyprowadzony nie starczy na przekonanie; a chromieć zawsze będzie prawdą, gdy rzeczy skończone z nieskończonemi, fizyczne z duchownemi porównywać będziemy. Łatwo wyosobnić człowieka od dzieła jego, bo są wydzielone granicami w przestrzeni, ale nie łatwo pojąć na ten sam sposób Boga Stwórcę, i świat stworzenie Jego, bo i Stwórca i stworzenie granic nie mają. Po za jakiemi krańcami szukać samego Boga będziemy, jeżeli nie on sam, ale tylko myśl Jego jest w stworzeniu? Gdzież jest co, gdzieby świata nie było? Obszukałem teleskopem wszystkie okolice nieba i nie znalazłem Boga, powiedział pewien sławny astronom w wieku niedowiarstwa. Tak odpowie każdy, gdy mu zadasz pytanie, gdzie autor świata tego. Lepiéj więc nie zadawać sobie i drugim takiego pytania zdjętego z zapatrywania się na skończone przedmioty, które muszą mieć czas i pomieszczenie, niżeli narażać się na sprzeczności, koniecznie wynikające, gdy zmysłem ducha chcesz mierzyć, i do nieskończonych jego przymiotów, przymioty tego świata stosujesz. Dziwi nas, że autor wychodząc z zasad religii nie użył twierdzenia katechizmowego: że Bóg jest wszędzie i na każdém miejscu. Wszakże w tém twierdzeniu zawarta myśl filozoficzna, że Bóg jest we wszystkości, a wszystkość stworzenia w nim; że on sobą wypełnia wszystkie miejsca, jest zatém w stworzeniu nie tylko myślą swoją, ale sobą samym. Ale zostańmy przy porównaniu, tylko je obierzmy z form przypadkowych. Autorstwo człowieka nie na jego miejscowości ni na jego osobowości polega, ale na pismach jego. Są autorowie, o których życiu nic nie wiemy, jak autorowie pieśni Homerowych, a przecie duch ich żyje w tych pieśniach. Wszystkie przypadkowości autora jako człowieka służą może ku objaśnieniu pism jego, ku ciekawości czytelnika, ale myśl jego i duch jego jest w pismach tylko; jako autor, w nich jest cały i zupełny, krom nich, jest człowiek tylko. Nie sama więc jeno myśl autora, ale autor sam z pism swoich wygląda, z wszystkiemi uczuciami serca, wyobrażeniami wieku, charakterem duszy. Tak Bóg we wszystkości stworzenia swego, tém tylko objawieniem najmędrszy, najdoskonalszy. Bez tego objawienia ażaliżby człowiek poznał Boga w wielkości Jego i szukał Go? Światem więc Bóg do zmysłów się objawia, myślą zaś w świecie utajoną do myśli człowieka. Myśl Boga, jak słusznie powiada autor, stworzyła świat, i świat jest jéj objawieniem; ale krom téj myśli, krom tego objawienia, Stwórcy samego szukać nie należy.

Autor obyczajem innych także filozofów uważa człowieka za najwyższy szczebel stworzenia, którym drabina coraz doskonalszych tworów, samych przybytków nieba, i stopni tronu boskiego sięga. »Ten okiem niedościgły ogrom świata podsłonecznego jest tylko jednym peryodem wielkiéj księgi — dzieła stworzenia — w którym za wyrazy służą słońca, planety i rozmaite twory; za peryody systemata światów i prawa powszechne; a treścią całego dzieła jest hieroglif odpowiadający zgodnie objawieniu Bożemu, które wstąpiło w naturę ducha człowieczego« — »Światy i całe w ogólności stworzenia objawiają myśl Bożą; duch tylko człowieczy niestworzony, ale z objawienia Bożego pochodzący! Duch, który jest ogniwem stworzenia ze stwórcą, który jest cieniem obrazu Boga! Duch tylko objawia naturę, czyli przymioty Bóztwa!« — Powiedzieliśmy na inném miejscu tego pisma: że znać ogrom światów i systemów słonecznych, w porównaniu z któremi, ziemia nasza tylko jest niknącą odrobiną; i rozumieć przy tém, że mieszkaniec téj odrobiny, człowiek, najdoskonalszém jest dziełem stworzenia, przez którego i w którym się Bóg poznawa; — jest to za wiele zarozumiałości na taką małość, za wiele miłości własnéj na tak wysokie cenienie siebie. Prawda, że z tworów naszego planety, na człowieku poczyna się objawienie się ducha myślą i poznaniem, ale żeby się na nim we wszystkości stworzenia kończyło, to zbytnia duma rozumu człowieczego kosztem nieskończonéj potęgi Boga powstała. Jak nędzarz, co nigdy nie miał pieniędzy więcéj nad grosz użebrany, zaledwie starczący mu na potrzebę dzienną, gdy go kilkoma talarami udarujesz, tylu pieniędzmi naraz, jakich w życiu nie miał, wzroku nasycić nie może, i mieni się bogaczem świata; — tak człowiek, któremu Bóg odrobiny światła swego udzielił, tak oślepion blaskiem jego, którego zwierze nie zazna, iż mieni, że nie ma nadto ani nic świetlejszego, ani doskonalszego. A wszakże Bóg jest nieskończona mądrość, a światy całe nie ogarną mądrości Jego! Źle ta zarozumiałość odbija, od wyrazów następnego zaraz peryodu: »Pojedyncze omyłki i błędy będą zawsze udziałem natury ludzkiéj: zarozumiałość i ułuda zmysłowa, wydały potwory odstępne od objawienia Bożego.« — Co do onych potworów dodać tu nam wypada, że jak w naturze tak w świecie moralnym potwory się znajdują; że nadewszystko sekty filozoficzne i religijne przed Chrystusem i po Chrystusie nie zasługują na imie potworów, bo to były objawienia się téj samej wiekuistéj myśli, którą nauka Chrystusa w czystości podała, tylko ciemnéj, jednostronnie uważanéj, połączonéj z różnemi przypadłościami błędnych wyobrażeń onych czasów. Na potwór przeobraża się dopiero myśl, tak od pierwotnéj formy swojéj spaczona, że jéj w tém wykrzywieniu nie poznasz. I w Chrystyanizmie ulądz się potwory mogą. Takim był fanatyzm, co słowo miłosierdzia i miłości, jakiém tchnie ewangelia, ogniem i mieczem wśród niewiernych roznosił; co podejrzanych o herezyą wiódł w processyi na stosy, i z jęków ich przeraźliwych, ze swędu ciał żywo się palących Bogu obrzydłe czynił ofiary i témi mękami, na które zatwardziałém sercem patrzał, rozumiał Mu się przypodobać.

Piękny jest następujący ustęp: »Najgłębszy filozof, przez cało-wieczne badanie, bez objawienia w duszy, nie mógłby wyrobić w sobie pojęcia tak oderwanego, że tego świata widomego i dotykalnego jest stwórca niewidomy i niedotykalny; że wielu i olbrzymich światów, oraz niezliczonych tworów, jest jeden powszechny stwórca, że najpotężniejszy, władnący olbrzymiemi massami światów, nie siłę materyalną, ale siłę myśli i cnoty ocenia. A przecież pojęcia tak abstrakcyjne, tak głębokiéj mądrości, są udziałem każdego prostaczka, każdego człowieka, bo nie jest to wyobrażenie ludzkiéj nauki i wymysłu, ale jest to wiara objawiona, dana człowiekowi jednocześnie z życiem, myślą i uczuciem moralném, bo objawienie Boże, a duch człowieczy jedno znaczy.« — »Ma człowiek na świecie w dziełach myśli Bożéj wzory mądrości, zkąd myślą własną czerpa powszechną naukę, lecz nigdzie w sprawach materyalnych tego świata; nie znajdzie wzorów dla uczuć serca, nie znajdzie zasileń dla wiary w nieśmiertelność, dla nadziei w przyszłe szczęście, dla ufności w sprawiedliwość Bożą. Owszem samo słońce, ta gwiazda dobroczynna, rozniecająca życie w materyalnéj naturze, a razem rozkładająca chemicznie mechanizm materyalny istót, jedną ręką podźwiga je, a drugą zadaje śmiertelne ciosy. Słońce kolebkę i mogiłę człowieka oświecając, przedstawuje widok znikomości i doczesności. Szarpanie się zwierząt, mordowanie słabszych, przewaga silniejszych i podobne do nich niezgody ludzkie, przedstawują widok tryumfu siły zwierzęcéj i obrazę sprawiedliwości. Dla wiary więc i nadziei wzór nie jest dany człowiekowi z tego świata, odbił się on w promieniach duchownych od duchownego świata; i kiedy człowiek wzniosłszy myśl ku Bogu sprobuje oddzielić istotę ducha swojego, od przywar natury ziemskiéj, któréj machiną materyalną ostatnie stanowi ogniwo; kiedy przeniknie się cudownością przymiotów wewnętrznych ducha, to jest: myśli, rozumu i miłości bliźnich, znajdzie w nich cień podobieństwa do przymiotów Boga stwórcy; znajdzie w głębi ducha i serca własnego przybytek Boskiego obrazu. Lud instynktowie czuje tę wiarę i w opinii powszechnéj wola do upamiętania się: »Co czynisz człowiecze, czy nie masz Boga w sercu?«

»Wszystko, co widzimy na świecie i czego nie widzimy, lecz wiemy z nauki, że exystuje, są rzeczy stworzone wedle władzy, myśli i woli Boga stwórcy; bo nic samo przez się nie stwarza się, ani też nie wiedząc, że jest złém lub dobrém; nie wiedząc nawet, że jest, nie mając w sobie władzy, nie przetwarza siebie z gorszego na lepsze, i bez woli i myśli nie podźwiga się ku doskonałości. Duch zas człowieczy, mający z natchnienia Bożego w podobieństwie Boskie w sobie przymioty życia indywidualnego, władzy i myśli, nie jest stworzony podobnie jak wszystkie inne materyalne istoty na świecie, a nawet jak jego organizm materyalny na prawach mechaniki, ale biorący w pierwszych rodzicach ludu pochodzenie z objawienia Bożego, które się stało duchem ożywiającym, cieniem obrazu Bożego « — Autor daléj sobie wystawia, że jak słońce przez odbicie promieni swoich o powierzchnią ziemi i będących na niéj przedmiotów, roznieca materyalne życie, wzrost i rodzajność, podobnie odbicie się w duchownych promieniach obrazu Boga o umysł i istotę duszy człowieka, zaszczepiło w niéj ducha nieśmiertelnego. — Dualizm, uważający Boga, jako istotę zaświatową, a świat jako dzieło myśli Jego, będący zasadą prawd wiary naszéj, jest także zasadą filozoficznych pojęć autora o istocie ducha, świecie i człowieku. Nie będziemy chodzili w krytykę takiego uważania rzeczy, napomkniemy tylko, że Bóg się objawił nie w samym jeno człowieku, ale w całém stworzeniu mądrością i niezmierzonością swoją. Według słów psalmisty wysławia go nie tylko człowiek, ale nieba i ziemie, słońca i gwiazdy głoszą chwałę Jego, i wszystko, co jest na ziemi w powietrzu i w wodzie śpiewa hymn wielkości Jego. Myśl Boga na wszech tworach wypiętnowana. Ale stopień jéj objawienia się jest różny. W nieorganicznéj naturze objawia się życiem bez woli i myśli; zwierzęcemu światu nadała wolę, i ruch dowolny téj woli jest wypadkiem; człowieka podniosła do wiedzy, którą poznaje siebie i Stwórcę swego. Czyli nad to wyższy jest jeszcze jaki stopień doskonałości tworów, nie wiemy, ani domyślamy się, jakiby mógł być, podobnie jak nie znamy ani domyślamy się, jakiéj natury są inne systemata słoneczne, których przecież nieskończona jest ilość.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*